

Wodniaka spod Sieradza droga przez Mękę, czyli epitafium dla Błatego - Wieści ze środowisk

Nadesłany przez:

Przesłany: : 24.01.2015, 13:10:00



14 stycznia 2015 roku około godz. 1600 w swój ostatni rejs... na niebieskie połoniny odszedł wieloletni komendant Szczepu im. Romualda Traugutta, legendarny nauczyciel geografii w I Liceum Ogólnokształcącym im. Mikołaja Kopernika w Łodzi, poeta, założyciel Kabaretu 'Kiełbie we Łbie' i Harcerskiego Klubu Turystycznego 'Tramp', "wodniak spod Sieradza", hm. Janusz Boissé "Błady".

Szef (jak go wszyscy nazywaliśmy) w czasie ponad trzech dekad swojej służby w "Koprze" sprawił, że z grupy około 40 harcerzy działających wtedy w szkole powstał szczep liczący 7 drużyn (w tym dwie wodne), który w latach 80-tych skupiał około 50% wszystkich uczniów liceum.

Błady poprowadził niezliczoną liczbę obozów harcerskich w Polsce i za granicą, w tym te najczęściej wspominane w Dolinie Caryńskiego i Nasicznem, Strużnicy i Wenecji. Zmarł po długiej chorobie, 5 dni po swoich 83 urodzinach. Odszedł człowiek jedyny w swoim rodzaju i niepowtarzalny.

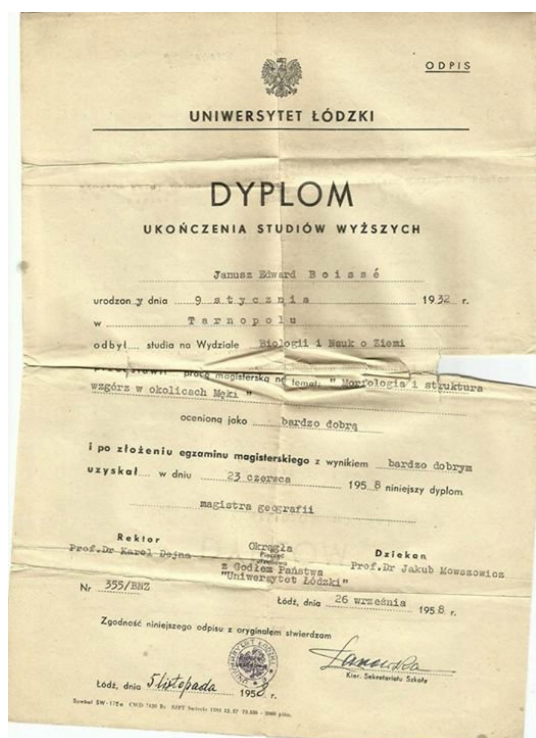
i wstąpił do działającej przy nim Wodnej Drużyny Harcerskiej. Drużyna stacjonowała w Przystani na Warcie i dorabiała na swoją działalność przewożeniem kajakami przez rzekę ludzi udających się na targ do miasta. Popyt na tę usługę był wystarczający, bo do 1950 roku okoliczne mosty były zniszczone, a jedyny stały środek transportu między brzegami stanowiła łódka obsługiwana przez lokalnego "gondoliera" Mariana Adriana.



Sieradzki gondolier w otoczeniu pięknych sieradzanek

Środki pozyskane przez jeden rok działań na rzece pozwoliły drużynie rozszerzyć zaplecze sprzętowe z 4 do 9 kajaków i żagłówek, dały też możliwość wyjazdów na obozy Hufca Sieradz do Męckiej Woli, Glinek pod Uhercami (w Bieszczadach), Ińska i Jedliny Zdrój pod Wałbrzychem.

Po uzyskaniu świadectwa dojrzałości w 1950 roku Janusz Boissé dwukrotnie starał się zdać na AWF w Warszawie - bez powodzenia. Jak sam wspominał, powody były "polityczne" - ojciec w czasie wojny walczył na Zachodzie, a rodzina miała powiązania z AK.



Z uwagi na trudne warunki bytowe w domu, te dwa lata, to okres dorywczej pracy - Janusz był tzw. nauczycielem niewykwalifikowanym w szkołach początkowych w Woźnikach, Męce i Sieradzu, zakładał i działał jako trener w Ludowych Zespołach Sportowych, a także podejmował działalność akwizycyjną w terenie w PZU. Od 1952 roku kolejne dwa lata spędził w wojsku, po którym zdał egzamin na studia w Państwowej Wyższej Szkole Pedagogicznej w Łodzi (włączonej później do Uniwersytetu Łódzkiego) na Wydział Geografii. Po uzyskaniu dyplomu magistra w 1958 roku, od 1 września zaczął pracować jako nauczyciel geografii w Szkole Podstawowej nr 125 w Rudzie Pabianickiej, a później przeszedł do XVIII LO przy ulicy Perla. Już wtedy dał się poznać jako niekonwencjonalny nauczyciel-gawędziarz, ubarwiający lekcje niekończącymi się opowieściami, pełnymi dygresji.



W roku 1963 władze oświatowe przeniosły prof. Janusza Boissé z XVIII do I LO im. Mikołaja Kopernika w Łodzi na stanowisko nauczyciela geografii i wicedyrektora. Decyzja wywołała sprzeciw uczniów "Osiemnastki", którzy zmanifestowali swoje niezadowolenie wobec decyzji odebrania im ulubionego nauczyciela, organizując przemarsz protestacyjny

i z transparentem „Nie oddamy profesora Boisse” usiłowali wymóc na poleskim Inspektoracie Oświaty zmianę decyzji.

Blady w sposób naturalny (bez żadnych specjalnych programów) potrafił dostrzec bieżące zainteresowania wychowanków i wykorzystać w pracy dydaktycznej. W ramach zajęć pozaszkolnych prowadził Koło Geograficzne, z którym przez wiele lat odbył szereg wycieczek krajoznawczych (raz w miesiącu wycieczka 2-dniowa, raz w roku, najczęściej w lutym, wycieczka 4-ro dniowa oraz podczas wakacji obóz wędrowny Koła, na ogół w Bieszczadach lub w Beskidzie Niskim).



Objął także opieką działalność teatralną - założony przez uczniów szkolny kabaret "Kiełbie we łbie", który przejął nazwę po gazetce redagowanej w klasie prof. Stanisławy Duszyńskiej. Trupa w różnych formułach przetrwała do 2000 roku; w latach 1983-86 funkcjonowała równolegle z drugim, także założonym przez uczniów (harcerzy szczepu) kabaretem PURCiL (Przedsiębiorstwo Unikania Robót Ciężkich i Lekkich). W pierwszym okresie istnienia "Kiełbie we łbie" miały 8 premier i łącznie kilkadziesiąt spektakli.



Z początkiem roku szkolnego 1969-70 do z-cy komendanta hufca Łódź-Polesie Włodzisława Kuzitowicza przyszedł ówczesny komendant działającego w Koprze Szczepu im. R. Traugutta Andrzej Krawczyk i oświadczył, że nie jest w stanie dalej łączyć obowiązków studenta i szczepowego.

Blady nie był już wtedy wicedyrektorem, a Włodek pamiętał, że znany mu jeszcze z "Osiemnastki" belfer w młodości był harcerzem - tak oto zmiana na funkcji stała się faktem, a Janusz Boissé wrócił do harcerstwa, dziedzicząc po poprzedniku szczep złożony z 3 ŁDH (około 30 chłopców pod wodzą drużynowego Andrzeja Pawłowskiego) i szczątkową 8 ŁDH (z ok. 10 harcerkami, którym przewodziła drużynowa Anna Pisera).



Kolejne lata, to burzliwy rozwój "Traugutta" pod okiem nowego komendanta. Około marca 1971 roku drużynowym "Trójki" został dh Tadeusz Żyliński, a drużynową "Ósemki" dh. Ewa Lipińska. Ta ostatnia drużyna rozrosła się do prawie 60 osób i w październiku 1971 roku została podzielona na dwie części: drużynową "Ósemki" pozostała Ewa Lipińska, a nową drużynę próbną (której z czasem nadano nazwę 4 ŁDH) objęła późniejsza instruktorka komendy hufca Łódź-Polesie, Ania Chudzyńska.



1 czerwca 1972 roku pojawił się pierwszy numer biuletynu szczepu "Człapik", redagowany przez zastęp koedukacyjny złożony z harcerzy dwóch istniejących jednostek - mały załączek przyszłej drużyny dziennikarskiej (mający za patrona... Koszałka Opałka), która ostatecznie zostaje powołana w 1973 roku jako 9 ŁDH, a jej pierwszą drużynową zostaje dh. Aleksandra Stępińska.



W tym samym 1973 roku szkolny kabaret zostaje przekształcony w próbną drużynę kabaretową z dh. Tadeuszem Błazyńskim na funkcji drużynowego. Jednostka ta rozwijała działalność kabaretową nie tylko w Łodzi, gdzie kulminacją był spektakl „Kopernik” (grany również w Teatrze Rozmaitości) według napisanej w 1953 roku sztuki Romana Branstaettera - odbyła również trzy obozy wędrowne, prezentując swoje spektakle w remizach i świetlicach wielu miejscowości północno - wschodniej Polski. Po okresie próbnym drużyna otrzymała nazwę 6 ŁDH.

W 1975 roku przy 3 ŁDH powstaje zastęp żeglarski, który 8 września tego samego roku przeradza się w Klub Żeglarski z komendantem Andrzejem Kroppem "Kaczorem". Klub funkcjonuje bardzo krótko, bo tylko do 27 października, kiedy to przekształca się w Próbną Drużynę Żeglarską. Pierwszy skład jej kadry stanowili:

- drużynowy: Andrzej Kropp
- przyboczny: Piotr Woźniak
- wachtowi:
 - Barbara Szybińska,
 - Barbara Jurkowska,
 - Bohdan "Bodzio" Szczepaniak,
 - Piotr Wądołowski.



W czasie pierwszego roku działalności drużyna

wodna znacząco zwiększyła liczebność, osiągając stan około 60 harcerek i harcerzy. Podczas zimowiska na Markowych Szczawinach w 1977 roku zapadła decyzja o podziale drużyny próbnej na dwie: jedną poprowadził, pełniący od września 1976 roku funkcję przybocznego, Mariusz Pryczek (późniejszy starszy mechanik w morskiej flocie, który zginął na norweskim statku w 1991 roku), a drugą Agnieszka Jankowska. Drużyna prowadzona przez Mariusza 27 maja 1977 roku kończy okres próbny i otrzymuje, w rozkazie komendanta Hufca ZHP Łódź-Polesie L06/77, nazwę 47 WŁDH (ostatecznie zmienioną na 47 ŁWDH im. Leonida Teligi). Druga, prowadzona przez Agnieszkę, 27 września 1977 roku zostaje włączona w poczet drużyn ZHP jako 6 WŁDH im. Władysława Wagnera (numer został przejęty po drużynie kabaretowej, która akurat znów zmieniła swój status i stała się kabaretem szczepu z dawną nazwą "Kiełbie we łbie").

Jesienią tego samego roku powstaje ostatnia z jednostek, jakie działały w "Koprze" do początku pierwszej dekady XXI wieku - drużyna zwiadu 7 ŁDH, której pierwszy skład kadry stanowili drużynowy Mirosław Lorens i przyboczna Joanna Boissé.



Janusz Boissé od samego początku kładł duży nacisk na aktywne poznawanie przez harcerzy świata, w którym przyszło im żyć. W okresie nauki szkolnej organizował rajdy i biwaki, a zimą i latem drużyny wyjeżdżały na zimowiska i obozy. Początkowo "Traugutt" pojawiał się na zgrupowaniach hufca, jednak bardzo szybko doszło do usamodzielnienia. Z czasem, po wykształceniu pierwszego pokolenia kadry instruktorskiej, szczep zaczął organizować po kilka różnych obozów w roku.



Jednym z pierwszych wyjazdów szczepu był obóz w Stegnie. Jak sam Blady napisał w swoich wspomnieniach - wyjątkowy i niepowtarzalny:

Po pierwsze, nad samym Bałtykiem z lekko słoną wodą, po drugie to wielka przygoda - gaszenie pożaru lasu. A było to tak: Byliśmy w lesie na szkoleniu przed Biegiem Harcerskim. Nagle zobaczyliśmy nad obozem dym. Druh, który nadbiegł, oznajmił zdyszczanym głosem, że pali się las. No to cześć! Bieg do obozu, po drodze łapiemy szpadle, łopaty, kilofy i siekiery. Pali się młodziak modrzewiowy, podpalony (przez głupotę) przez grupę turystów. Pani Marysia - kucharka - rąbie najbliższe kuchni modrzewie. Lew w nas wstąpił, tęgie modrzewie leciały od jednego zamachu, rąbaliśmy przesiekę i kopaliśmy rów. Po godzinie ogień został zlokalizowany.

Było sporo komicznych sytuacji. Drużynowy 3 ŁDH Pawłowski poszedł w ogień w masce gazowej, zapomniał tylko wyjąć korek od pochłaniacza, wszystko jasne!!! Turyści z domków dookoła obozu mieli nielichą sensację, wymieniając niezwykle "inteligentne" uwagi typu: "Patrzcie, idą w ogień, może się spala, e nie, już wyszli". Dwóch panów podawało sobie dziurawe wiaderko, wymieniając kulturalne uwagi "Pan pozwoli, Panie Magistrze", "Ależ proszę, Panie Radco", a wiaderko dochodziło do ognia puste.

I po ogniu, zmęczeni, ujrzelśmy wóz straży pożarnej, który skierował na nas armatkę wodną. Padliśmy pokotem, pełna radość.

Kiedy myśliśmy się w morzu, nadbiegła drużyna oznajmiając z wdziękiem "Druhu, znów się pali!". Bieg, gaszenie łopatami i piaskiem, bo straż już odjechała. Za to nadszedł leśniczy, ostrzegając przed chodzeniem po pogorzelisku: 'Bo wiecie, Panowie, niewypały' - chodziliśmy już po nim od 4 godzin. Pełna radość i zabawa...

Wiosną 1970 roku, podczas objazdu Bieszczadzkich gór Włodzisław Kuzitowicz, będący już wtedy komendantem hufca znalazł polanę we wsi Nasiczne, która stała się terenem pod przyszłe obozy Hufca Łódź-Polesie (obecnie znajduje się tam Stanica Chorągwi Gdańskiej ZHP). To właśnie od wyjazdu w to miejsce w 1971 roku zaczął się bieszczadzki rozdział w historii "Traugutta", kontynuowany potem podczas wielu obozów wędrownych oraz stałych (w Łobozewie Dolnym, w Dolinie Caryńskiego podczas "Operacji Bieszczady 40" i Nasicznem). Zawiązało się też wtedy wiele przyjaźni, a wśród nich dwie najważniejsze: z Wieńkiem Nowackim i Józkiem Marciniszynem.



Z Wieńczysławem Nowackim Błady zetknął się w dolinie Caryńskiego - miejscu po dawnej wsi wciśniętym między Połoninę Caryńską i Magurę Stuposiańską, pełnym przepięknych łąk i dziczyńskich drzew owocowych, ze śladami dawnych domostw oznaczonych pokrzywami i pozostałościami niewielkiego cmentarza z zachowanymi ruinami kaplicy odpustowej. Nazwa doliny prawdopodobnie pochodziła od słowa "caryna", oznaczającego łąkę lub pastwisko - być może przed powstaniem wsi było to miejsce wypasów. Dolina z jednej strony okolona jest Kotą i przełęczą nad Nasicznem, zwaną Siodełkiem, z drugiej zamknięta przełęczą Przysłup, na której w latach 70-tych stała chatka zwana Kolibą. To właśnie tam swój nieformalny, plenerowy ośrodek odwykowy dla narkomanów, do którego ściągali też różnego rodzaju ludzie niepokodzeni z rzeczywistością, w tym "garownicy" i "pacyfiści - uciekinierzy przed wojskiem", starał się prowadzić Wieniek - rolnik, hipis, człowiek wolnych zawodów. Wizjoner - bo swoje metody wyciągania z nałogu poprzez kontakt z naturą i pracę wprowadzał na wiele lat przed ruchem zorganizowanym przez Marka Kotańskiego.



Działania Wieńka i rosnąca popularność komuny z Caryńskiego nie podobały się ówczesnym władzom. Niektóre z prowizorycznie kleconych chałup podpalano pod nieobecność mieszkańców, często zdarzały się naloty esbeków i milicjantów oraz

przeszukiwanie kwater. Funkcjonująca nieopodal stacja w Nasicznem i to, że harcerze dogadywali się z osadnikami i wspólnie z nimi pracowali przy lesnych uprawach stanowiło dla osady rodzaj bufora oraz realne wsparcie.

Janusz Boisse i Wieniek Nowacki doskonale się rozumieli, bywali u siebie częstymi gośćmi. Gdy w sztabie operacji "Bieszczady'40" w Ustrzykach Dolnych zwołano specjalną naradę poświęconą ewentualnym relacjom harcerzy z miejscowymi i mogącymi wynikać z tego tytułu zagrożeniami, Blady starał się bronić mieszkańców Caryńskiego, zaprzeczając opowieściom o rzekomym ćpaniu i złodziejstwie oraz tłumacząc, na czym polega działalność ośrodka. Pomagał też kupić materiał na budowę kolejnych chat oraz załatwić transport do doliny. Umożliwił też przekazanie kuchni polowej oraz niekiedy wspierał osadników zaprowiantowaniem z bazy. Współpraca trwała do czasu aresztowania Wieńka oraz likwidacji osady przez siły milicyjne.



Józek Marciniszyn był osadnikiem bieszczadzkim, mieszkającym wraz z rodziną w chałupie na skraju Nasicznego (dom pod numerem 10, stojący prawie na wprost wejścia do stancji harcerskiej). Dawny mistrz okręgu w wadze ciężkiej w boksie i zawodowy żołnierz (czołgista), zarabiał na życie ciężką pracą - uprawiał pole, pracował też w kamieniołomie i jako pilarz przy wycinkach lasu. Był po bieszczadzku zaradny - z różnych części budował wehikuły nazywane pieśczołliwie "łunochodami", dzięki którym mógł zwozić plony z pola oraz dostarczać zaopatrzenie dla domu. Pierwszą konstrukcją był przebudowany poniemiecki motocykl wojskowy, wyposażony m.in. w skrzynię biegów z Mercedesa i reduktory - jego opis i zdjęcia trafiły w latach 70-tych do jednego z numerów pisma opisującego techniczne wynalazki. Ostatnia wersja "łunochoda" oparta była na starym, dwumiejscowym GAZie'69, mocno zmodyfikowanym i doposażonym. Maszyna była pozbawiona budy aż do przednich błotników, nie miała też tylnych resorów. Przestrzeń od foteli aż do końca ramy wypełniała karbowana, mocno przyspawana, stalowa płyta prawie centymetrowej grubości (taka, jakich używano do zakrywania dużych włączów kanalizacyjnych). Na środku płyty wspawane było siedło pod dyszel drabiniastej naczepy. Wóz względem oryginału doposażono w drugą przekładnię redukcyjną i blokadę mechanizmów różnicowych - bez problemu ciągnął pod górę spore ciężary nawet po grząskiej ziemi.

Blady i Józek poznali się podczas pierwszego bieszczadzkiego obozu szczepu im. Romualda Traugutta w 1971 roku - Marciniszyn wykonywał na rzecz bazy różne prace. Panowie się zaprzyjaźnili - mieli zbliżone poczucie humoru i dar koloryzowania opowieści, więc dostrzegli w sobie bratnie dusze. Obaj charakteryzowali się też podobną obowiązkowością i troską o innych. Dobrze pokazuje to zdarzenie, do którego doszło podczas pewnego szkolenia harcerzy z samarytanki: instruktorzy zabrali zastępy na wycieczkę po okolicy i w jej trakcie pozorowali różne wypadki. Jeden za bardzo wczuł się w rolę - zrobił dwa skaleczenia na nodze i krzyknął, że ukąsiła go żmija. Jedna z dziewczyn pobiegła po ratunek do wsi. Szła burza, Józek wraz z całą rodziną uwijali się na polu, żeby zebrać całe siano na czas. Gdy usłyszał co się stało, rzucił widły, zatknął nóż za pas, wskoczył na konia na oklep i pognął

ratować obcego! Po prostu taki był - gdy ktoś był zagrożony, ratował, a nie myślał o sobie. Potrafił też wciskać różne bajdy i stroić sobie żarty z młodziaków - w podobnej konwencji, jak Blady. Jeden z tych najlepiej zapamiętanych, to podchodzenie warty nocnej. Józek (i Kijak - mieszkający w okolicy całkiem zdolny zdun) postanowili wykręcić numer. Założyli kurty na lewą stronę, barankiem na wierzch, na głowy nasadzili czapy z przyczepionymi Tryzubami, noże za paski, na ramieniu dyndające na paskach karabiny... poszli. Okrążyli uśpiony obóz i o poranku, w świetle przedświt, zeszli za przełęczą wprost na zbaraniałą wartę pytając gromko, czy Ruscy we wsi są...

Józka spotkałem pierwszy raz dość późno, w latach 80-tych. Też się zaprzyjaźniliśmy. Przez pewien czas odwiedzałem go prawie każdego roku (aż do tego lata, gdy po przyjeździe poszedłem złożyć polne kwiaty na jego grobie w Dworniczku), nocowałem w jego domu, pracowałem na polu przy zbieraniu siana... i wznosiłem też toast za szczęśliwe ocalenie, gdy któregoś razu, po akcji transportowania nitrogliceryny jego nieresorowanym 'łunochodem", cały (choć bardzo mocno znieczulony), wrócił do domu w Nasicznem.

Był świetnym człowiekiem i miał kapitalną rodzinę. Jednego roku nocowaliśmy u niego w trójkę; ja, mój brat i jego kolega ze studiów - początkujący kulturysta. Któregoś dnia zabrakło opału w kuchni. Józek rzucił hasło, dałem odzew "To przyniosę", jednak kolega brata postanowił się wykazać i mnie wyprzedził... no i wychodzę przed chałupę, patrzę - idzie Lesiu, niesie dwie kłody, pręży tors... a w połowie drogi wyprzedza go filigranowa, najmłodsza z córek Józka, targając worek z połową zawartości drewnutni... bo te córki Józka, to jedną ręką półtuszkę na hak potrafiły zarzucić, bez wysiłku.

Tenże sam Lesiu jednego dnia poszedł w góry (właściwie wszyscy poszliśmy, bo to dzień od pracy był wolny). Miał głód tych gór, więc dotarł daleko, na Przysłup, a dalej na zbocza Magury Stuposiańskiej. Pod wieczór wrócił z Caryńskiego wielce podekscytowany i od ganku gromko oznajmił "Znalazłem martwego człowieka!". Potem odsapnął, splukał kurz tęgim łykiem... wody (bo Lesiu po powąchaniu czegoś mocniejszego prostował kaloryfery) i opowiedział, że oto na zboczu Magury nad przełęczą Przysłup, gdzie polazł z nudów, nagle zobaczył wystającą z ziemi kość, która dla niego (student I roku medycyny) wydała się ludzką. Dalej nic, ale nad tym miejscem zauważył nieco wyżej naturalną półeczkę - poszedł tam i najpierw odkopał niemiecki hełm z zawartością, a za nim resztę szczątków jakiegoś człowieka, w resztkach munduru i z oprzyrządowaniem. Zawartość hełmu - czaszka - miała mieć zamek Mausera wbity pod oczodołem, reszta ponoć była sterana wiekiem i trochę przez zwierzęta, ale w miarę w całości.

Słuchaliśmy tego z Józkiem w milczeniu, zerkając na siebie porozumiewawczo. Do czasu, jak Lesiu wyjął z plecaka hełm niemiecki i kawałek karabinu. Hełm miał zachowane skórzane elementy wnętrza, DOBRZE ZACHOWANE... zamilknęliśmy, a Lesiu, nie dostrzegając naszego zbarania, wyjaśnił "Pewnie Ukrainiec, sądząc po niekompletnym mundurze - wybrał sobie miejsce, więc go pogrzebałem".

Po roku znów odwiedziłem Nasiczne. Józek się przywitał i odczekawszy stosowną chwilę rzekł: "Ale Ty powiedz młodemu, żeby zabrał ode mnie ten garnek (niemiecki hełm), co go zapomniał. Bo wiesz, jak go zostawił, to ciepnałem go w kąt na siano i teraz co idę do stodoły, to coś tam się rusza i woła do mnie Hände hoch".

Józek w ciągu dnia harował, a wieczorami lubił snuć gawędy. O wszystkim - pracy w lesie, kamieniołomach, dawnych czasach, psikusach robionych harcerzom, albo, że był kaskaderem na planie filmu "Wilcze echa" m.in. w scenie skoku do studni i pościgu po połoninach. Czy choćby o tym, że w Stanie Wojennym zarekwirowano mu Schmessera, którego trzymał na strychu i od tamtej pory na dziki z obrzytnem musi chodzić.

O okolicznych znajomych też rozmawiał: komu się powiodło, a kto przegrał życie. Tak znów usłyszałem o Kijaku, którego kilka razy widziałem przy drodze do Berehów, przed małą ziemianką w tym czasie pomieszkiwał. Okazało się, że Kijak z czasem zdziadział, zamknął się w sobie, rozpił (Józek też tego pił, ale... z umiarem). Rozpił się bardzo źle, bo z wódki przeszedł na denaturat i inne świństwa. Chłopcy z wioski próbowali ratować kamrata, jak umieli. Józek ciężko zarobione pieniądze w części przeznaczał na czystą wódkę i zapraszał kolegę, próbując "wyczyścić" jego organizm z trucizny. Zrezygnował, gdy jednego wieczoru Kijak w czasie popijawy na chwile wyszedł na ganek - tam Józek zastał go, przepijającego wódkę denaturą, bo "czysta mu nie smakuje".

Inne, dziwne wspomnienie o Kijaku wpisujące się w cykl "Biesy - ludzki tygiel" spisał jeden z instruktorów "Traugutta", Ryszard Kowski:

Jego też poznałem podczas obozu w Nasicznem w 71. Facet był całkiem sprawnym zdunem - postawił nam piec w kuchni obozowej. Bieszczady odwiedzałem regularnie, co roku, trochę z harcerzami, trochę prywatnie (np. pracując w wakacje przy mielerzach - to była kasa!).

O Kijaku krążyły różne opowiadki. Niestety skończyło się to tak, jak opisał Piotr. Ziemianka z królikami była ostatnim ziemskim adresem Kijaka. Ale póki nie doszło do dążenia do samozniszczenia, zdarzały się ciekawe sytuacje. Sam też przeżyłem gdzieś tak w połowie lat 70-tych dziwne chwile przy ognisku na siodełku nad Nasicznem. Bardzo lubiłem to miejsce, szczególnie o przedświcie, gdy Doliną Caryńskiego spływa rzeka mgły, a znad Magury powolutku wyłania się słońce. Sporo obozów wędrownych, które prowadziłem, tak się kończyło. Gdy wędrowałem sam - pod gruszą, która rosła na samym siodełku rozpałałem ognisko i, w zależności od pogody i nastroju, spałem w namiocie lub "pod gołym". Kiedyś przydreptał do mnie Kijak. Już trochę "w stanie poezji ulotnej", ale jeszcze nie za bardzo. Przysiadł się. Po pewnym czasie zaczęliśmy gadać. W pewnym momencie zapytał mnie czy czytałem "Na zachodzie bez zmian" Remarque'a. Zdębiałem. Akurat była to jedna z lektur, o których pisałem na maturze, więc znałem to nieźle! A on zaczął analizować różnice między oryginalną wersją niemiecką, a polskim przekładem. Tak przegadaliśmy do świtu. Byłem oszołomiony! Ale nigdy więcej tak się nie otworzył. Parę lat temu, gdy byliśmy w Nasicznem [...], dowiedziałem się, że dawał korepetycje z niemieckiego dzieciom sąsiadów Józka. Wtedy już wiedziałem dlaczego.

Oddzielną kartę stanowiły wielokrotne wizyty w sudeckiej bazie hufca w Strużnicy, która do dziś, latem i zimą, ugościła harcerzy z "Kopra" kilkadziesiąt razy. A oprócz tych miejsc były też obozy i zimowiska w Głuchołazach, Cieplicach, Wenecji, Jarkowicach, Stuposianach, Markowych Szczawinach i Bąkowej Górze, a także trasy koncertowe grupy kabaretowej po Suwalszczyźnie i Bieszczadach, i dziesiątkach innych miejsc w Polsce i poza jej granicami.

Z czasem drużyny szczepu zaczęły wyjeżdżać także za granicę, do Francji, Szwajcarii, Włoch, Szkocji, na tereny Wileńszczyzny, Słowacji, Rumunii i ukochanej przez Błatego Ukrainy, a pod koniec XX wieku wypłynęły też na morskie wody (początkowo Morza Bałtyckiego, a później także innych akwenów).

16 września 2001 roku (data rozkazu komendanta Hufca ZHP Łódź-Polesie) Błady przekazał funkcję szczepowego swojemu następcy, Marcinowi Tkaczykowi. Pozostał w kadrze jednostki, wspomagając młode pokolenie instruktorów. Geografii nauczał w "jedynce" przez 36 lat. W wieku 70 lat zorganizował razem z byłymi wychowankami trzy wyprawy: na Ukrainę, Litwę i w okolice Białowieży. Zasłynął jako bezkompromisowy i niezwykle charyzmatyczny wychowawca oraz harcmistrz. Za swoją

wieloletnią działalność otrzymał odznaczenia:

- Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski
- Krzyż Zasługi RP
- Medal komisji Edukacji Narodowej
- Złoty Krzyż za Zasługi dla ZHP
- Odznaka Zasłużony Działacz kultury
- Nagroda Miasta Łodzi

W wywiadzie, jakiego udzielił w 2006 roku powiedział:

Gdyby nie harcerstwo, szybko wpadłbym w rutynę, zbelfrzał i nudził jak mops. A tak wychowałem kilka tysięcy osób, chyba z pożytkiem dla nich.

A upór? Gdybym nie był uparty, harcerstwa w "Jedynce" dawno by nie było.

O tym, że Szef w czasie ponad trzech dekad swojej służby w "Koprze" sprawił, że z grupy około 40 harcerzy działających wtedy w szkole powstał szczep liczący 7 drużyn, który w latach 80-tych skupiał około 50% wszystkich uczniów liceum, wiedzą wszyscy, którzy kończyli "Kopra". O tym, że zainicjował lub zorganizował około 130 obozów i zimowisk harcerskich w Polsce i za granicą, w tym te najczęściej wspominane w Dolinie Caryńskiego i Nasicznem, Strużnicy i Wenecji, pewnie też, choć niektóre gazety podają liczbę jedynie 15 wyjazdów.

Ważne jest jednak to, że Błady potrafił (bez żadnych specjalnych uchwał i programów) dostrzec zainteresowania nas, młodych i wykorzystać w szczepie. Dzięki temu w drużynach rozwijała się, poza turystyką i kabaretem, także działalność dziennikarska, łącznościowa, fotograficzna (w klubie fotograficznym korzystającym z ciemni "Kopra" oraz polowych ciemni na obozach), a także archeologiczna i wodna - pamiętam czas, gdy liczba wodniaków w szczepie każdego roku wynosiła około 60-70 osób.

Fenomen Janusza ma chyba związek z jego darem silnego utożsamiania się z rolą, w którą wchodził. Po pierwszych latach w szczepie stworzył on coś na kształt "teatru jednego reżysera i aktora zarazem, z udziałem publiczności", w którym nie było granicy między sceną i widownią, choć każdy znał swoje miejsce w scenariuszu. Niezwykły dar opowiadania i kreowania różnych sytuacji oraz bardzo ekspresyjny sposób wypowiadania się sprawiały, że Szef "czarował" odbiorców, potrafiąc najwykleszy wyjazd, czy wieczorne spotkanie przy ognisku zamienić w pasjonujący spektakl.

Czy był ideałem? Gdzieżby?! Jak większość artystów nie grzeszył skrajną skromnością (inaczej skąd byśmy znali te wszystkie legendy i historie z jego udziałem), miał naturę macho, a na przestrzeni lat był też dość nierówny i niekiedy trudny w obcowaniu. Inaczej wspomną go harcerze z pierwszych lat działania szczepu, a inaczej moje pokolenie. Tym bardziej, że pamiętam rok, gdy Janusz po pierwszych wrześniowych lekcjach znikł na ponad miesiąc ze szkoły, a po powrocie wyglądał na starszego o 10 lat - wtedy zmarła jego mama. Od tego wyjazdu bardzo się zmienił - stał się bardziej wybuchowy, chwilami zamknięty i podatny na skoki nastroju. Trzeba było go dobrze poznać, aby dotrzeć do tych teraz głębiej schowanych pokładów ciepła.

Bywał też niekiedy zazdrosny o sukcesy innych. W pierwszych dwóch dekadach na funkcji szczepowego wykształcił potężną armię świetnie przygotowanych instruktorów, która znakomicie zasiłowała potem kadry poleskiego hufca. Ale też sam padł ofiarą tego sukcesu, bo nagle... aktorów pojawiło się wielu. Z jednej strony kłóciło się to trochę z jego wizją wspomnianego wcześniej "teatru", z drugiej, każde odejście instruktora do komendy hufca lub innego szczepu traktował jak stratę dla "Traugutta". Ten wewnętrzny konflikt trwał w nim chyba do przekazania funkcji szczepowego. I stąd tyle odejść i powrotów w szczepie.



Pamiętam, że podczas jednego z pierwszych prowadzonych przeze mnie zimowisk na prośbę harcerki, Ani, zorganizowałem dla niej bieg zamykający próbę na stopień. Bieg trwał 2 tygodnie i zakończył się sukcesem (a nie było to łatwe, bo zima była śnieżna i mroźna, a sprawdzian miał formułę zadaniową, praktyczną).

Janusz po zimowiskach dowiedział się o tym i... obraził na mnie śmiertelnie, że to nie on jako pierwszy składał gratulacje dziewczęciu. Gdy spotkaliśmy się na kominku podsumowującym wszystkie zimowiska, nie pozwolił mi złożyć sprawozdania, komentując "Myśli, że jak odrósł trochę od ziemi, to już wie wszystko o obozowaniu. Może mieliście fajny wyjazd, ale NASZ (jego - przyp. autora) był bardziej harcerski."

Rzecz jasna następnego dnia się zreflektował, zadzwonił i przeprosił, a tego typu "folklorystyczne drobiazgi" nie przeszkadzały nam wspólnie robić harców i odwiedzać się podczas obozów. Mimo, że byłem wodniakiem, odwiedzałem Strużnicę wielokrotnie, a w 1989 roku byłem u niego zastępcą komendanta zgrupowania, zaś szef był w kadrze prowadzonego przeze mnie obozu szczepu w Nasicznem w 2003 roku.

Myślę, że najważniejsze w obcowaniu z Bładym było jego przekonanie o słuszności tego, co robi, absolutna bezinteresowność i pasja, szczerza pasja, z jaką oddawał się swojej pracy. Stąd u nas, wychowanków, życzliwość i szacunek dla niego oraz miejsce w pamięci do końca naszych dni.

Ostatnie tygodnie życia Janusz spędził u siebie, odwiedzany przez przyjaciół i dawnych uczniów. Odszedł po długiej chorobie, w domu otoczony opieką rodziny i wychowanków. 20 stycznia 2015 roku w jego ostatniej drodze towarzyszyło mu ponad tysiąc harcerzy i absolwentów "Kopra", którzy przemaszerowali spod murów I Liceum Ogólnokształcącego im. Mikołaja Kopernika do jego kwatery na Cmentarzu Starym w Łodzi.

hm. Piotr PanWac Nowacki

Źródła:

- archiwum 47 ŁWDH (dostępne w latach 1982-88)
- archiwum szczepu im. R. Traugutta (dostępne w latach 1982-2001)
- archiwum hufca ZHP Łódź-Polesie
- wspomnienia własne i absolwentów I LO w Łodzi
- Janusz Boissé "Moje harcerstwo"
- Włodzisław Kuzitowicz: ["Wspomnienie o Januszu Boisse, łódzkim Keatingu w harcersko-turystycznej wersji"](#)
- Krzysztof Potaczała: ["Bieszczady w PRLu 2"](#)
- Krzysztof Potaczała: ["Hipisi w Bieszczadach. Tu szukali wolności"](#)
- Archiwum MOSiR w Sieradzu

Zdjęcia i filmy:

- archiwum Joanny Boissé
- archiwum szczepu im. R. Traugutta
- archiwum hufca ZHP Łódź-Polesie
- Archiwum MOSiR w Sieradzu
- fotografie wykonane przez Andrzeja Tybulczuka, Ryszarda Kowskiego, Andrzeja Pająka, Piotra Nowackiego, Jadwigę Krajewską, Jerzego Nowackiego
- film z pogrzebu: Katarzyna Dąbkowska